



Anty
CHŁOPAK

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

PENELOPE WARD

 **editored**

Tytuł oryginału: The Anti-Boyfriend

Tłumaczenie: Marcin Kuchciński

ISBN: 978-83-283-7652-6

Copyright © 2020. THE ANTI-BOYFRIEND by Penelope Ward

Cover photographer: Nadia von Scotti

Cover design: Letitia Hasser, RBA Designs

www.rbadesigns.com

Polish edition copyright © 2021 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/antych>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

Carys

JURNY DZIĘCIOŁ

Dobiegające zza ściany odgłosy skrzypiącego łóżka drażniły mnie niczym skrobanie paznokciami po tablicy. Deacon, mój sąsiad, nie sprowadzał do siebie dziewczyn każdego wieczora, ale gdy już jakąś zaprosił... o rety, co to się *działo*. Ujeżdżał je w tę i z powrotem. Raz był nad nią, raz pod nią.

Tej nocy trafiła mu się wyjątkowo głośna klacz, a para zdawała się przystępować do akcji za każdym razem, gdy tylko udało mi się przysnąć. Niestety, ponowne zaśnięcie zawsze zabierało mi sporo czasu. Wszystkim młodym matkom powtarza się jak mantrę, że powinny wykorzystywać każdą chwilę i *spać wtedy, gdy śpi ich małżeństwo*. Rada dobra, ale niemożliwa do zrealizowania, gdy za ścianą mieszka jurny kandydat do programu *Kawaler do wzięcia*.

Pokój mojej córki, Sunny, mieścił się po drugiej stronie i dźwięki dobiegające z mieszkania 5B nie mogły jej obudzić. Natomiast moja sypialnia oddzielona była od sypialni Deacona tylko jedną cienką

ścianą. Słyszałam każdy jęk sprężyn, każdy okrzyk i głośniejsze westchnienie. Wibracje przenoszące się na moje łóżko były swoistym bonusem. Najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że sama już od ponad roku nie uprawiałam z nikim seksu i to doświadczenie było w tej chwili najlepszą dla mnie jego namiastką.

Może myślisz sobie, że powinnam zebrać się na odwagę i zacząć walić czymś w ścianę, uważałam jednak, że nie mam żadnego prawa im przeszkadzać. Deacon był przecież kawalerem i mieszkał u siebie. Mógł robić, co chciał, i po prostu cieszyć się życiem. Nie jego wina, że te ściany były takie cienkie.

Żeby chociaż był szybki... Ale nie, on zdawał się mieć nieskończone pokłady energii! Jak ten króliczek z reklamy baterii Energizer.

Czy już wspominałam, że w dodatku mój sąsiad był zabójczo przystojny? Tylko kilka razy minęłam się z nim na korytarzu i przed domem, ale naprawdę trudno byłoby nie zachwycić się jego piękną twarzą i idealnie przystrzyżoną bródką podkreślającą linię kanciastej, silnej szczęki. Świadomość tego, jak świetnie wygląda, w niczym mi w tamtej chwili nie pomagała. Owszem, byłam zła i rozdrażniona, ale wyobrażanie sobie tego, co działo się za ścianą, samo w sobie nie było wcale takie nieprzyjemne. Mówiąc szczerze, to właśnie obrazy, które przelatywały mi pod powiekami, powodowały, że nie mogłam zasnąć.

No to teraz rozumiecie już wszystko. Wiecie, w jakiej sytuacji się znajdowałam.

Kiedyś jednak wszystko dobiega kresu. Odgłosy seksu przeszły w stłumione śmiechy i rozmowy.

Próbując zasnąć, przyrzekłam sobie, że gdy następnym razem spotkam Deacona, spróbuję delikatnie poruszyć ten temat. Nigdy u mnie nie był i zapewne nie wie, że nasze łóżka dzieli jedynie cienka ściana. To na pewno będzie niezręczna rozmowa, ale nie da się jej uniknąć.

Ja musiałam się wysypiać. Co prawda nie pracowałam, ale zajmowanie się sześciomiesięczną córką było zajęciem na pełny etat.

Sunny była pięknym efektem krótkiego związku z moim byłym szefem, który postanowił wrócić do swojej byłej, zanim jeszcze okazało się, że jestem z nim w ciąży. A gdy się już o tym dowiedział, nie chciał mieć nic wspólnego ani ze mną, ani z dzieckiem. Moją córką zajmowałam się więc sama, bez niczyjej pomocy, jeśli nie liczyć pieniędzy, które od czasu do czasu mi przysyłał. W tym momencie muszę podkreślić, że kiedy się w nim zakochałam, on już od roku był w separacji ze swoją żoną.

Byłam zdecydowana wrócić do pracy, gdy Sunny skończy pół roku, ale okazało się, że to wcale nie jest takie łatwe, jak mi się wcześniej wydawało. Bardzo brakowało mi kontaktu z innymi ludźmi i możliwości wyrwania się z domu choć na chwilę. Marzyłam o znalezieniu sobie pracy choćby na część etatu. Niestety, usługi opiekunek były droższe, niż sądziłam. A oprócz tego nie byłam chyba jeszcze w pełni gotowa, żeby zostawiać Sunny na dłużej. Pozbawiona kontaktów z ludźmi powoli zaczynałam odchodzić od zmysłów i wciąż nieustannie biłam się z myślami i rozważałam wszystkie za i przeciw. Czy chęć powrotu do pracy oznacza, że jestem złą matką?

Takie pytania dręczyły mnie i nie pozwalały na spokojny sen — oczywiście wtedy, gdy wina za taki stan rzeczy nie spoczywała na barkach mojego sąsiada.

Następnego dnia Sunny jak zwykle ucięła sobie popołudniową drzemkę. Zazwyczaj dawało mi to około dwóch, czasem nawet trzech, godzin wolnego czasu. Czasu tylko dla *siebie*. Jedyne w ciągu całego dnia. Włączałam wtedy telewizor, ściszałam dźwięk i oglądając kątem oka kolejny odcinek *Żaru młodości*, przyrządzałam sobie lunch.

Nie byłam jakąś wielką fanką tego serialu, ale przypominał mi moje dzieciństwo. Oglądałam go wtedy, gdy byłam chora i musiałam siedzieć w domu pod opieką babci.

Zostawienie Sunny samej choćby na minutę zawsze napawało mnie lękiem. Ale skrzynkę pocztową też czasem trzeba sprawdzić, no nie? Po lunchu zbiegłam więc na dół. Zawsze robiłam to w ekspresowym tempie, ani na chwilę nie rozstając się przy tym z odbiornikiem elektronicznej niani.

Jednak tego dnia cała operacja zajęła mi nieco dłużej niż zwykle, ponieważ po powrocie na swoje piętro natknęłam się na Deacona opuszczającego właśnie swoje mieszkanie.

— O, cześć, *Carys-jak-Paris*. Jak tam leci? — Uśmiechnął się szeroko.

Kiedy ludzie pytają mnie o imię, czasem — z jakiegoś głupiego powodu i szczególnie często wtedy, gdy jestem zdenerwowana — odpowiadam: „Carys, jak Paris”. Tak też przedstawiłam się kiedyś Deaconowi.

Zapach jego wody kolońskiej sprawił, że aż zeszywniałam. Boże, był taki przystojny. Tego dnia miał na sobie niezwykle elegancki jasnobrązowy, zamszowy płaszcz z kołnierzem z owczego runa. Jego błękitne oczy, błyszczące jeszcze jaśniej na tle opalonej skóry, skrzyły się w świetle fluorescencyjnych lamp nad naszymi głowami, które nadawały miedziany połysk jego brązowym włosom. Miał co najmniej 188 centymetrów wzrostu, co przy moich 163 centymetrach czyniło go niemal koszykarzem.

Oto okazja, aby poruszyć temat poprzedniej nocy. Jednak teraz, gdy tak patrzył na mnie z góry, a powietrze było przesiąknięte jego piżmowym zapachem, miałam problem ze znalezieniem języka w buzi. Musiałam jednak to zrobić. Teraz albo nigdy.

Czułam, jak serce zaczyna mi bić szybciej. *No, dawaj*. Wciąż jeszcze brakowało mi tchu po biegu po schodach na górę, ale jakoś udało mi się wydusić z siebie:

— No wiesz, tak szczerze... Chciałabym móc powiedzieć, że wszystko u mnie w porządku, ale niestety miałam wczoraj poważny problem z zaśnięciem. Tak więc bywało lepiej.

Zmarszczył czoło.

— Przykro mi to słyszeć.

— Bo wiesz... To w sumie twoja wina.

Jego czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej.

— Moja wina?

— Tak. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale twoje łóżko sąsiaduje przez ścianę z moim. Twoje... twoje wczorajsze *działania*... obudziły mnie i miałam później problem z zaśnięciem.

Bum!

I już.

Powiedziałam to.

Deacon przymknął na chwilę powieki.

— Cholera. Przepraszam. Nie wiedziałem, że twoje łóżko jest tuż za moją ścianą.

— Tak. Bliziotko. Jakbym była... Jakbym była w tym samym pokoju.

— W takim razie bardzo cię przepraszam. To było niegrzeczne z mojej strony. Powinienem zaprosić cię, żebyś do nas dołączyła.

Co się stało? Miałam wrażenie, że cała krew napłynęła mi do głowy.

Wyciągnął przed siebie otwarte dłonie.

— Nie, nie. Ja tylko żartuję. Przepraszam. Takie głupie poczucie humoru. Zawsze mówię coś takiego, gdy czuję się niezręcznie.

Założyłam kosmyk włosów za ucho.

— Okay, rozumiem. Żartujesz.

— Tak, absolutnie. Żartuję. — Uśmiechnął się szeroko. — Teraz jednak, gdy już wiem, że wszystko słyszysz, postaram się zachowywać ciszej. Powinnaś była od razu zwrócić mi na to uwagę.

Przechyliłam głowę na bok.

— A jak to sobie niby wyobrażasz? Miałam tam do was wejść i zobaczyć was kotłujących się na łóżku? Mówię ci to teraz.

— No tak, faktycznie. Ale chyba wczorajszy wieczór nie był pierwszym, kiedy coś słyszałaś?

Spuściłam wzrok na swoje stopy.

— No nie...

— Mogłaś przynajmniej zastukać w ścianę albo coś.

— Nie chciałam wam tak niegrzecznie przeszkadzać w... No, w tym, co tam robiliście. To wasze osobiste sprawy. Po prostu chciałam tylko, żebyś wiedział, jak wygląda sytuacja. Nie musimy dalej tego roztrząsać.

— Słuchaj, a może powinniśmy ustalić jakiś kod?

— Nie rozumiem?

— No wiesz, jeśli zakłócę ci spokój, to możesz włączać jakąś głośniejszą muzykę. Żeby dać mi sygnał. — Strzelił palcami. — Najlepiej coś ironicznego, jak na przykład *The Sound of Silence* Simona i Garfunkela.

— Nie mogę puszczać głośno muzyki, gdy śpi moje dziecko.

Uśmiech spłynął mu z twarzy.

— No widzisz? To dowodzi, jaki ze mnie idiota. Bardzo cię przepraszam, Carys. Naprawdę. Postaram się, żeby to się już nigdy nie powtórzyło.

— I lepiej dotrzymaj słowa, kochasiu! — dobiegł kobiecy głos zza drzwi któregoś z mieszkań.

Deacon i ja odwróciliśmy się w tamtą stronę jak na komendę. Zdążyłam jeszcze dostrzec znikającą szparę w drzwiach do apartamentu pani Winsbanger. Starsza kobieta musiała nas podsłuchiwać. Mieszkała sama i często przyłapywałam ją na szpiegowaniu sąsiadów.

Deacon wyduł wargi.

— Pani Winsbanger jest moją miłośniczką.

— Najwidoczniej nie tylko ja słyszałam te nocne odgłosy — zauważyłam.

Zaczerwienił się. Przyznaje, że ta reakcja mnie zdziwiła. Wydawał mi się znacznie bardziej pewny siebie.

— Przesunę łóżko na drugą stronę pokoju. To powinno pomóc.

— Byłoby miło, jeśli to dla ciebie nie problem.

— Ależ skąd.

Zadowolona, że tę rozmowę mamy już za sobą, z ulgą wypuściłam powietrze.

— No dobrze, to w takim razie nie zatrzymuję cię dłużej.

On jednak się nie ruszył, wpatrując się uważnie w moją twarz.

— Wszystko okay?

— Tak. A dlaczego pytasz?

— Bo wyglądasz na przemęczoną.

No coś takiego. Jestem niewyspana, próbuję maksymalnie wykorzystać tę jedyną wolną godzinę w ciągu dnia, a na dodatek prowadzę najdziwniejszą rozmowę pod słońcem.

— Tak wygląda moje życie. Cała ja. Mam godzinę na śniadanie i chwilę relaksu, bo potem obudzi się moja córka.

— Ach. No tak. — Podrapał się po brodzie. — Ile ona ma teraz?

— Sześć miesięcy.

Deacon wiedział, że byłam samotną matką. Wpadliśmy kiedyś na siebie przed domem i pomógł mi wtedy wnieść zakupy, gdy ja walczyłam z wózkiem.

Już miałam wrócić do siebie, gdy ponownie się odezwał.

— Potrzebujesz może czegoś?

Nie zrozumiałam, o co mu chodzi.

— To znaczy?

— No, coś ze sklepu? Może kawę? Mam coś do załatwienia na mieście, ale mogę zajrzeć do sklepu w drodze powrotnej.

— Chociaż raz na coś się przydasz, *jurny dzięciole!* — Głos pani Winsbanger był wyraźnie słyszalny.

Najwidoczniej wciąż podsłuchiwała.

— Czy ona właśnie nazwała mnie *jurnym dzięciołem?* — szepnął zaskoczony.

I wtedy nie wytrzymałam. Wybuchłam śmiechem i przez dobrą minutę nie mogłam złapać tchu, aby coś powiedzieć. Deacon też się śmiał, ale wydaje mi się, że raczej dla towarzystwa.

— Tak. Naprawdę nie mam pojęcia, skąd ona wzięła to określenie. Ale już dawno nic mnie tak nie rozbawiło.

Gdy w końcu udało mi się uspokoić, Deacon powtórzył pytanie:

— No to jak, przynieść ci kawę albo coś innego?

Ta propozycja naprawdę mnie zaskoczyła. Rzadko ktoś mnie pytał, czy czegoś nie potrzebuję. Owszem, miałam w tym mieście kilka dobrych przyjaciółek, ale wszystkie pracowały i były zajęte. Nie było nikogo, kto mógłby w środku dnia wyskoczyć dla mnie po zakupy. A że do Nowego Jorku nadciągnęła już jesień, wyjście z domu stało się jeszcze trudniejsze. Musiałam mieć naprawdę dobry powód, aby wyciągać Sunny na ten ziąb.

Szczerze powiedziawszy, marzyłam o latte ze Starbucksa. Dla ludzi bez dzieci spontaniczny wypad do kawiarni jest czymś najzupełniej naturalnym. Ale ubierać Sunny, wyciągać wózek... Za dużo z tym zachodu.

— Gdybyś przypadkiem przechodził obok Starbucksa, to chętnie napiłabym się waniliowego latte.

— Załatwione. — Uśmiechnął się szeroko. — Tylko tyle?

— Może z jedną porcją syropu waniliowego.

— Jedna porcja syropu. Okay. Coś jeszcze?

— Och, nie, to wszystko. Nie chcę cię wykorzystywać.

— Ależ dlaczego? Wykorzystuj. Co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić? Mówię poważnie. Zakłóciłem twój sen i chcę ci to jakoś wynagrodzić.

Wykorzystuj. Ojej. Odpędź te myśli, odpędź te myśli...

— Nie jesteś moim chłopcem na posyłki.

— Carys... — Jego barytonowy głos zrobił się nagle poważny. Powtórzył pytanie, wyraźnie oddzielając każdy wyraz. — Co. Jeszcze. Mogę. Dla. Ciebie. Zrobić? Mogę skoczyć do sklepu.

Cholera, faktycznie *była* jeszcze jedna rzecz, której potrzebowałam.

— Pieluchy? — powiedziałam z wahaniem.

— Okay. — Roześmiał się. — Ale będziesz musiała dać mi nieco więcej wskazówek. Nigdy nie kupowałem żadnych pieluch.

Zanim zdążyłam mu powiedzieć, jaki rozmiar ma kupić, on podał mi swój telefon. Wyraźnie zarejestrowałam przelotny dotyk jego dłoni.

— Wpisz swój numer. Napiszę do ciebie, jak już będę w sklepie.

Zrobiłam to, o co mnie prosił, a oddając mu telefon, ponownie skoncentrowałam się na dotyku. To tyle, jeśli chodzi o kontakt fizyczny z mężczyzną. Na nic więcej nie mogłam liczyć.

Wsunął telefon do kieszeni.

— Coś jeszcze?

— Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— W porządku. Ale jeśli o czymś sobie przypomnisz, to możesz do mnie napisać.

— Dziękuję. *Naprawdę* doceniam twoją pomoc.

— No to na razie — rzucił i zaczął zbiegać po schodach.

Stałam przy drzwiach, patrząc za nim. Z tyłu prezentował się równie apetycznie, co z przodu. I co ważniejsze, charakter miał chyba tak samo miły jak powierzchowność.

— Jedna porcja sosu. Waniliowego. Akurat — rzuciła pani Win-sbanger, po czym zatrzasnęła drzwi.

Wiadomość przyszła jakieś pół godziny później.

Deacon: Hej. Jestem przy półkach z pieluchami. Cholernie duży wybór.

Uśmiechnęłam się. *Słodziak*. Wyobraziłam sobie mojego gorącego sąsiada stojącego bezradnie w dziale dla niemowląt i był to obrazek tyle uroczy, co i zabawny. Jakaś mamusia może dostać na jego widok zawału serca.

Carys: Rozmiar 2.

Deacon: Huggies czy Luvs?

Carys: Tańsze.

Deacon: A twoja córka które woli?

Carys: LOL. Nie mam pojęcia. Jeszcze nie jest w stanie mi tego powiedzieć.

Deacon: Aha. No jasne.

Carys: Ale jej mama woli te tańsze.

Deacon: Ale które są lepsze?

Carys: Nigdy nie porównywałam. Weź którekolwiek.

Przez chwilę nie odpisywałam, dlatego założyłam, że coś wybrał. Ale kolejna wiadomość wyprowadziła mnie z błędu.

Deacon: Ups... Komplikacje!

Roześmiałam się.

Carys: Co się stało?

Deacon: Są jeszcze pampersy.

Carys: Wybierz którekolwiek. LOL.

Deacon: Na szczęście na ratunek zmierza tu już kilka kobiet. Myślą, że potrzebuję pomocy.

Jasne. Im chodzi o pieluchy, nie o ciebie. Nic, trzeba było wyciągnąć go z opresji, wskazując konkretną markę.

Carys: Luvs będą dobre.

Deacon: No to biorę!

Carys: Dziękuję.

Deacon: Chcesz coś jeszcze ze sklepu?

Potrzebowałam tamponów i dezodorantu, ale nie miałam śmiałości posyłać go po takie rzeczy.

Carys: Nie, dzięki. To wszystko.

Kolejna wiadomość przyszła po kilku sekundach.

Deacon: A co to jest peepee teepee?

Boże. Musi jak najszybciej wyjść z tej części sklepu.

Szeroko uśmiechnięta zabrałam się do pisania odpowiedzi.

Carys: To taki namiocik na siusiaka.

Deacon: Namiocik na MOJEGO siusiaka? Czy po wczorajszej nocy sugerujesz, że by mi się przydało coś takiego?

Nie mogłam uwierzyć, że znów wraca do tego tematu... Ale naprawdę udało mu się mnie rozśmieszyć. Nie śmiałam się tyle od wieków. Miałam tylko nadzieję, że nie obudzę Sunny.

Carys: To jest dla niemowląt. Taki ochraniacz, żeby chłopczyk nie obsikiwał ludzi.

Deacon: Aha. No to ze mną wszystko w porządku. Już od dawna nikogo nie obsikałem ;-)

Jasna cholera. Dokąd zmierza ta rozmowa?

Carys: Nie skomentuję.

Deacon: I tak nie mają tu chyba mojego rozmiaru.

Boże.

Deacon: Hej. Teraz już naprawdę wychodzę!

Dlaczego mam takie rozpalone policzki?

Gdy Deacon wrócił pół godziny później, Sunny jeszcze spała.

Podał mi torbę z pieluchami. W drugiej ręce trzymał kartonowy pojemnik z dwiema kawami.

Wyjął mój kubek.

— Wziąłem ci venti. Ale nie wiem, czy nie za duża?

— Za duża? Jeśli chodzi o kawę, to nie znam takiego pojęcia. —

Przyjęłam kubek z uśmiechem. — Dziękuję.

Podeszłam do stolika i wyjęłam z torebki portmonetkę.

Wyciągnąłem otwartą dłoń w moją stronę.

— Nie. Absolutnie. Nie musisz mi nic oddawać.

— Przecież nie możesz za mnie płacić.

— Potraktuj to jako przeprosiny za to, że nie dałem ci spać.

— Ale muszę ci oddać przynajmniej za pieluchy.

— Nie.

— No weź, przecież nie mogę...

— Możesz. Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Odłóż portmonetkę.

Uległam, choć nie przywykłam do takich gestów szczodrości.

— No cóż... W takim razie dziękuję.

Wzięłam pierwszy łyk gorącego, spienionego latte i przytknęłam oczy. Napój był tak dobry, że aż jęknęłam... chyba jednak trochę za głośno.

— To zabrzmiało tak, jakbyś była wczoraj u mnie w sypialni. — Roześmiał się.

O mało nie wyplułam kawy.

Musiałam się cała zaczerwienić, bo dodał natychmiast:

— Przesadziłem?

— Nie. W sumie to nawet doceniam fakt, że starasz się to obrócić w żart i nie uważasz mnie za wścibską sąsiadkę. — Pociągnęłam kolejny łyk kawy. — Ależ to jest dobre. Już tak dawno tego nie piłam.

— Gdy tylko masz ochotę na kawę, dzwoń do mnie. Jeśli nie będziesz miała czasu wyjść, to skoczę i przyniosę. To przecież niedaleko.

Choć ta propozycja była bardzo kusząca, nie zamierzałam z niej korzystać. Byłam samodzielną kobietą i nie lubiłam sprawiać wrażenia, że nie daję sobie rady.

Spojrzałam na niego uważnie.

— Dlaczego musisz być taki miły? Przez to trudno jest mi być na ciebie złą.

— Nie wiedziałem, że chcesz być na mnie zła. — Uśmiechnął się i rozejrzał. — Twoja córka wciąż śpi?

— Tak. Czasem zdarza jej się pospać dłużej, nawet do trzech godzin. To wyjątek od reguły, ale bardzo się z tego cieszę. Nieczęsto mam takie dłuższe chwile przerwy.

— No to w takim razie raczej nie powinienem przypominać słów naszej sąsiadki, tych o *urnym dzieciolu*. Bo wtedy mogłabyś znów zacząć się śmiać i obudzilibyśmy twoje dziecko.

Faktycznie, znów nie mogłam się powstrzymać. Musiałam zakryć usta dłonią, aby stłumić śmiech.

— Jezu, to było naprawdę zabawne.

— Mówiłem ci już, że pani Winsbanger mnie *uwielbia*? — zapytał.

— Na mnie też krzywo patrzy.

— O? To ty ją w ogóle kiedyś *widziałas*? Ja zwykle dostrzegam jedynie szparę w drzwiach, które uchyla, gdy chce usłyszeć, co się dzieje na klatce schodowej. Widziałem ją przelotnie może raz czy dwa.

— A ja kiedyś nawet chciałam pomóc jej wnieść jakieś rzeczy, ale odmówiła, rzucając mi okropne spojrzenie. Jak gdyby podejrzewała, że chcę ją okraść. A ja przecież chciałam tylko jej pomóc.

— Czeka, sprawdzę. — Wyciągnął telefon.

— Co chcesz sprawdzić?

— Tego urnego dzieciola. Może czegoś nie kumam. — Wstukał coś w telefonie i przewinął stronę. — Hm. Okazuje się, że jest taki środek na potencję. — Podniósł na mnie spojrzenie znad ekranu. — Cholera. Czyżby myślała, że tego potrzebuję? — Wrócił wzrokiem

na ekran komórki. — Och! Na szczęście w pełni naturalny. Popatrz. Główny składnik to żeń-szeń malezyjski. Podnosi libido.

— Człowiek każdego dnia uczy się czegoś nowego. — Roześmiałam się.

— I to dzięki pani Winsbanger. — Przewrócił oczami i odłożył telefon.

Rety, ale miałam rozpalone policzki. Jego obecność tutaj i rozmowa o środku na potencję uświadomiły mi boleśnie, jak bardzo brakowało mi kontaktu z dorosłymi... szczególnie płci przeciwnej.

Ostrożnie wyjął z tacy kubek ze swoim napojem, a ja zauważyłam fragment tatuażu, który wychodził gdzieś spod rękawa i kończył się na lewym nadgarstku. Ciekawe, czy jest duży... Jaką część ramienia zajmuje? W obrazek wplecione było jakieś słowo, ale nie widziałam go w całości — tylko ostatnie trzy litery: „hie”. Czyżby jakieś imię? *Ruthie*? Trudno powiedzieć.

Miał piękne, duże dłonie o szorstkiej skórze i z wyraźnie zaznaczonymi żyłami. Długie palce. Zresztą cały Deacon był uosobieniem męskości. Zmusiłam się do odwrócenia wzroku od niego i zamiast tego skoncentrowałam się na napisie na jego kubku. Zamówił potrójne espresso. Bez mleka. Dawka mocnej kawy, w sam raz dla silnego mężczyzny.

Zauważył, że patrzę na jego kubek.

— Źle zapisali moje nazwisko. Napisali *Beekman*. Czy tak w ogóle można się nazywać?

— Można. Mój ojciec miał właśnie takie nazwisko — powiedziałam, zachowując absolutną powagę.

— Serio?

Dłużej nie mogłam wytrzymać. Potrząsnęłam głową z uśmiechem.

— Nie.

— Ach, rozumiem. Carys jest dowcipna. Może jest w niej coś więcej, niż to się może wydawać na pierwszy rzut oka, i nie jest tylko pruderyjną sąsiadką.

— Hej! — Roześmiałam się, a on mrugnął znacząco.

— Przecież wiesz, że ja też tylko żartuję.

— Cóż, jeśli chodzi o błąd w nazwisku, to dobrze cię rozumiem. Moje często piszą przez *P*, chociaż wydaje mi się, że dostatecznie wyraźnie akcentuję *C*.

— To fakt, *Carys-jak-Paris*.

— Czasem piszą *Karen*. — Wzruszyłam ramionami. — Zdarza mi się coś takiego bez przerwy.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Carys to wyjątkowe imię. Bardzo mi się podoba.

W sposobie jego mówienia było coś niezwykłego. Tak jakby kierował na ciebie absolutnie całą uwagę. Jego oczy były jak dwa teatralne reflektory — w ich świetle byłam tylko ja, a reszta świata tonęła w ciemności.

Czując, że czerwienią mi się policzki, powiedziałam szybko:

— Dziękuję. To walijskie imię.

— Jesteś Walijką?

— Moja matka jest pół-Walijką, więc w sumie trochę tak.

— Piękne imię.

Poczułam przebiegający mi po plecach dreszcz, jak gdyby skomplementował we mnie coś znacznie istotniejszego niż imię.

Moje zmysły szalały, nie wiedząc, na czym się bardziej skoncentrować — na cudownym zapachu, jaki roztaczał wokół siebie Deacon, czy na smakowitej woni espresso. Moje dwa ulubione zapachy połączone w jedno. Najwięcej bodźców dostarczało mi jednak moje ciało — odbierałam to jak super świadomość tego wspaniałego mężczyzny, stojącego tak blisko mnie... Mężczyzny, który ostatniej nocy doprowadził jakąś kobietę do rozkoszy.

Tymczasem Deacon podszedł bliżej do szafki. Podziwiałam go, gdy przyglądał się zdjęciom ustawionym na półkach. Większość przedstawiała moją córkę, ale on wybrał zdjęcie, na którym byłam tylko ja. Kilkakrotnie przenośli wzrok ze zdjęcia na mnie i z powrotem. Moje ciało spięło się mimowolnie.

— Byłaś baletnicą?

Skinęłam głową.

— Tak. Tańczyłam w balecie... kilka lat. Ale już tego nie robię, oczywiście.

— Zawodowo?

— Tak. Byłam pierwszą tancerką w Manhattan Ballet.

Jeśli wydawało mi się, że jego spojrzenie już wcześniej było przeszywające, to na określenie tego, które rzucił mi teraz, nie było już odpowiedniej nazwy.

— Łał. — Ponownie spojrzął na zdjęcie, na którym byłam w samym body baletowym. Wpatrywał się w nie tak intensywnie, że poczułam się nieswojo. — A dlaczego przestałaś tańczyć?

Przełknęłam głośno ślinę. Nie byłam przygotowana na taką rozmowę.

— Kontuzja. — Po wypowiedzeniu na głos tego jednego słowa został mi w ustach nieprzyjemny, gorzki posmak.

Deacon zamarł na chwilę w bezruchu, jak gdyby naprawdę się tym przejął.

— Tak mi przykro. To musiało być dla ciebie okropne.

— Faktycznie, nie było łatwo.

Deacon wpatrywał się we mnie, a ja z każdą kolejną sekundą czułam się coraz bardziej... naga?

— To był najtrudniejszy moment w całym moim życiu. Przynajmniej do tamtej pory — przyznałam w końcu.

— I co zrobiłaś? Potem... kiedy dowiedziałaś się, że już nie będziesz mogła tańczyć?

— Przez kilka lat pracowałam w balecie, choć już oczywiście nie na scenie.

— I dlaczego zrezygnowałaś?

Wzruszyłam ramionami.

— Sunny.

— Ach. No tak. — Westchnął i odstawił zdjęcie w ramce na półkę.

— Oczywiście.

To, że wydawał się szczerze zainteresowany mną i moim życiem, sprawiło, że nieco się przed nim otworzyłam.

— Wiesz... To oczywiście skrócona wersja tej historii. Dłuższa jest taka, że związałam się z dyrektorem baletu. Charles jest synem właściciela... Został dyrektorem przez koligacje rodzinne. Nepotyzm w czystej formie. Zbliżyliśmy się do siebie, kiedy był w separacji z żoną. Zaszłam w ciążę... a on wrócił do niej.

— Cholera — rzucił, robiąc kilka kroków w moją stronę.

— No tak. — Głośno wypuściłam powietrze. — Cholera. Gdy dowiedział się o dziecku, niczego to nie zmieniło w relacji między nami. I szczerze mówiąc, i tak nie przyjąłabym go już z powrotem. Ze swoją była żoną — teraz już znów obecną — ma dwoje dzieci. Kiedy powiedział jej o Sunny, postanowili nie mówić nic swoim dzieciom o tym, że mają przyrodnią siostrę. Poprosił mnie, żebym nie podawała go jako ojca. Jego nazwiska nie ma nawet na jej akcie urodzenia.

— I zupełnie się nią nie interesuje? Nie wspiera was?

— Przysyła mi trochę pieniędzy. Pod stołem. To śmieszne pieniądze, ale każdy cent się liczy. Przyjmuję je, bo nie mogę pozwolić, aby duma przeszkodziła mi w trosce o córkę.

— Uważam, że to skurwysyństwo. Powinien bardziej się postarać.

— Wiesz, szczerze mówiąc, chyba nie chciałabym, żeby był obecny w jej życiu w większym stopniu. Widywanie ojca tylko od czasu do czasu i poczucie odrzucenia jest gorsze od całkowitego braku kontaktu.

Spojrzał mi głęboko w oczy.

— Zabrzmiało to tak, jak gdybyś miała jakieś osobiste doświadczenie związane z tym tematem.

Jakimś cudem ta chwila przerwy na kawę zmieniła się w sesję terapeutyczną. W Deaconie było coś, co sprawiało, że miałam wrażenie, iż mogę powiedzieć mu wszystko, nie obawiając się, że będę przez niego oceniana.

— I tak też jest — przyznałam. — Wychowywałam się bez ojca. — Potrząsnęłam głową i wbiłam wzrok w podłogę. — Ale dość już. Nie ma sensu wracać do przeszłości i opowiadać ci o moim życiu. Wyświadczyłeś mi przysługę i skoczyłeś po kawę. Raczej nie chciałbyś słuchać moich wynurzeń.

— Żartujesz? Przecież to ja zadaję ci te wszystkie pytania. Przepraszam za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. — Upił łyk kawy. — Mam nadzieję, że cię w żaden sposób nie urażę, jeśli powiem, że zawsze mnie ciekawiłaś. No wiesz... Czym się zajmujesz i co się stało z ojcem twojego dziecka. To oczywiście nie moja sprawa, ale i tak się nad tym zastanawiałem.

Westchnęłam ciężko.

— No to teraz już wszystko wiesz.

— Jasne. — Uśmiechnął się.

Najwyraźniej nie zbierał się jeszcze do wyjścia, dlatego postanowiłam zapytać go o coś, co z kolei ciekawiło *mnie*.

— A ty, Deacon? Jaka jest *twoja* historia? Jesteś z Nowego Jorku?

— Nie. Pochodzę z Minnesoty. Kilka lat temu przeprowadziłem się tu z Kalifornii. Potrzebowałem jakiejś zmiany. Mogę pracować zdalnie w dowolnym miejscu na świecie.

— Oo? A czym się zajmujesz?

— Projektuję interaktywne gry dla pewnej azjatyckiej firmy.

— Brzmi świetnie.

— Owszem, fajna praca, choć nigdy nie sądziłem, że będę się zajmował czymś takim. Nasza apka jest bardzo popularna i dobrze sobie radzimy na rynku. Daje mi to poczucie stabilności, choć rynek gamin-gowy jest raczej nieprzewidywalny.

— A więc nigdy nie chodzisz do biura?

— Przez większość czasu pracuję z domu. Czasem tylko chodzę na spotkania do nowojorskiego biura naszej firmy. Siedziba główna jest w Japonii.

— To świetny układ.

— Owszem. Ale są i minusy. W domu czasem trudno zmobilizować się do pracy. Tyle rzeczy rozprasza.

— Tak. Chyba nawet któregoś wieczoru słyszałam jeden z powodów tego rozpraszania... — Mrugnęłam do niego znacząco.

— Oj. — Skrzywił się. — A ja już miałem nadzieję, że udało mi się choć trochę zmienić twoje pierwsze wrażenie na mój temat. Ukrył twarz w dłoniach. — Totalna porażka.

Roześmiałam się.

— Nie jest tak źle. Tylko się z tobą drażnię. — Sama byłam zaskoczona tym, jak szybko poczułam się swobodnie w jego towarzystwie. Tak miło mi się z nim rozmawiało.

— W każdym razie — podjął przerwany wątek — najlepsze w pracy zdalnej jest to, że mogę sam organizować sobie czas. Jeśli objam się przez cały dzień, to zawsze mogę nadrobić to wieczorem.

— Tak, elastyczne godziny pracy są świetne. Właśnie próbuję sobie znaleźć coś, co dałoby mi podobną swobodę. Słyszałeś może o jakiejś pracy?

— Akurat jakoś nic nie przychodzi mi do głowy, ale mogę nastawić ucha tu i tam. Mniej więcej jakiej pracy szukasz?

— No cóż, mam jakieś doświadczenie tylko w pracy biurowej. Może mogłabym sprawdzić się jako wirtualna asystentka? Ale jestem też otwarta na inne propozycje. Skończyłam studia, ale tyle lat poświęciłam

tańcowi... Mam niewielkie doświadczenie. Tylko tych kilka lat pracy za biurkiem w administracji baletu. Miałam nadzieję na karierę baletową i tylko na tym się koncentrowałam.

— Oczywiście. — Skinął głową. — To w pełni zrozumiałe.

Bezwiednie obracałam w dłoni pokrywkę na kubek mojej kawy.

— To, że przez jakiś czas nie pracowałam, nie było takie złe. Od początku chciałam zostać w domu z Sunny, ale teraz wydaje mi się, że dla mojego zdrowia psychicznego byłoby dobrze, gdybym mogła wrywać się gdzieś przynajmniej na kilka dni w tygodniu albo znaleźć sobie jakąś pracę zdalną. Trudno jest znaleźć idealne rozwiązanie. Na pewno jednak nie chcę zostawiać mojej córki na całe pięć dni w tygodniu.

Deacon głośno wyrzucił z siebie powietrze, jak gdyby naprawdę przejmował się moją sytuacją.

— Dziecko wszystko zmienia, no nie?

— Tak. Wywraca świat do góry nogami. Te ostatnie sześć miesięcy jest jak jedna niewyraźna plama. Jakbym żyła przez ten czas w jakiejś bańce. Ale nie zamieniłabym tego doświadczenia na żadne inne. Sunny jest dla mnie wszystkim.

— Cóż, z tego, co zdążyłem zauważyć, to naprawdę świetnie sobie radzisz. Wydaje się być takim szczęśliwym dzieckiem. Jesteś naprawdę doskonałą matką.

Poczułam ciepło rozlewające się po sercu. Jeszcze nikt mi tego nie powiedział. Miałam świadomość, że robię, co w mojej mocy. Staralam się ze wszystkich sił i miło było usłyszeć, że ktoś to docenił.

— Dziękuję. Jesteś naprawdę słodki.

— Och. Nie zdarza mi się słyszeć tego zbyt często, ale okay.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Pierwszy spuścił wzrok, zerkając na ekran swojego telefonu.

— No nic... Chyba czas na mnie. Pozwolę ci cieszyć się ostatnimi chwilami spokoju, zanim obudzi się twoja córka.

Chciałam mu powiedzieć, że nie musi jeszcze iść. Ale zamiast tego powiedziałam tylko:

— Cieszę się, że mogłeś mnie choć trochę poznać. Przynajmniej wiesz już, że nie jestem tylko szurniętą i wścibską sąsiadką.

— A ja mam nadzieję, że widzisz we mnie kogoś więcej niż tylko jurnego dziecięcia.

— Jeszcze nie do końca... — Mrugnęłam do niego znacząco. — Ale jestem coraz bliżej.

Zaśmiał się.

— Okay, to na razie, Carys. Jeśli czegoś będzie ci potrzeba, nie krępuj się. Wystarczy słowo.

Uniosłam brwi.

— A jakie to słowo?

Podrapał się po brodzie.

— Rzeczywiście, musimy ustalić jakieś hasło... Może po prostu *dziecioc?*

Zachichotałam.

— Aha. W punkt. Łatwe do zapamiętania.

Skierował się do drzwi, ale ja jeszcze zawołałam za nim:

— Raz jeszcze ci dziękuję za pieluchy i kawę.

Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Podeszedł kilka kroków i rzucał mi olśniewający uśmiech. Aż mnie zakłuło w sercu.

— Pieluchy i kawa. Niezłe połączenie. Jeszcze nikt mi nie podziękował za coś takiego. — Mrugnął do mnie znacząco. — Cała przyjemność po mojej stronie.

Zamknęłam za nim drzwi i oparłam się o nie. Kręciło mi się w głowie.

No serio, Carys? Jesteś żaloszna.

Nawet o tym nie myśl. Jestem samotną matką z dzieckiem. Nie chciałby władować się w taką sytuację. Jakież muszę mieć stęsknione serce, skoro przyjmuję życzliwy gest przystojnego mężczyzny za pierwszy krok do ognistego romansu. Tyleż ognistego, co nierealnego.

Dopiłam kawę i otworzyłam reklamówkę z pieluchami.

Ale oprócz opakowania pieluch Luvs było tam coś jeszcze.

Deacon dołożył tam jeszcze maskotkę Świnki Peppy...

I zatyczki do uszu.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Co może zrobić ze swoim życiem samotna matka niemowlęcia? Carys na razie nie mogła pracować, przecież nie miała z kim zostawić Sunny. Zresztą nie chciała wracać do swojej starej firmy — nie, dopóki dyrektorem był ojciec Sunny. Poświęcała się więc w pełni córeczce i próbowała odpoczywać, kiedy mała zasypiała, co jednak nie zawsze się udawało. Przyczyną bezsennych nocy był hałas zza ściany. Przystojny sąsiad głośno cieszył się kawalerską wolnością.

Deacon, utalentowany projektant gier, był seksowny i miał poczucie humoru. Podobał się Carys. Ale nie miał najmniejszej ochoty na poważne relacje, w jego życiowych planach nie było też miejsca na dzieci. Którejś nocy coś się zmieniło. Małe Sunny chorowała, głośno płakała i trudno ją było uspokoić. W końcu ktoś zapukał do drzwi. To był Deacon. I wcale nie przyszedł się awanturować. Na jego widok Sunny się uspokoiła. A potem — na jego rękach — usnęła.

Ten wieczór wiele zmienił. Carys i Deacon stali się sobie bliżsi. Stopniowo ich przyjaźń się pogłębiała. Śliczna Carys okazała się ciepłą, serdeczną kobietą. A Deacon miał w sobie pokłady wrażliwości i empatii, do tego był czuły. Jednak oboje wiedzieli, że nie mogą być razem. Z wielu powodów. Tymczasem Deacon powoli zdawał sobie sprawę z tego, że nie może się wyrzec Carys. A ona coraz częściej łapała się na marzeniu o wspólnej przyszłości. Tylko że baśniowe zakończenia nie zdarzają się w prawdziwym świecie, prawda?


Czy może istnieć ktoś bardziej nieodpowiedni?

PENELOPE WARD dorastała w Bostonie wraz z pięcioma starszymi braćmi. W przeszłości była prezenterką telewizyjną, jednak rzuciła tę pracę i zajęła się pisaniem. Jej powieści są czytane na całym świecie i regularnie uzyskują status bestsellerów „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today”. Mieszka w Rhode Island z mężem, synem i córką.

Penelope
WARD

PENELOPEWARDAUTHOR.COM

 editio

 Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kosciuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-7652-6



Cena 44,90 zł